TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 49. Chicago, Ill., Czwartek, 8 go Grudnia, 1898. Rok XII.

FR. HOFFMAN.

TEN CO PO NAD OBŁOKAMI.

Opowiadanie dla młodych moich przyjaciół.

PRZEŁOŻYŁ.

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

(Dokończenie.)

Już dlatego samego, że sam widział jak nawałnica szalała, mógł sobie łatwo wyobrazić jaki obraz zniszczenia przedstawi się oczom jego, to jednak co obaczył przedstawiło mu się stokroć straszniej od owego obrazu, jaki zrodził się w wyobraźni jego. Wszystkie jego pola były zupełnie zniszczone, a bogaty plon, jaki żniwa przyobiecały zamienił się w kuby błota z których sterczały kłosy i kawałki gradu. Na łąkach niemożna już było obaczyć dawnej, ładnej trawy, w ogrodach pięknej jarzyny, a na drzewach zieleniących się listków. Nawałnica spustoszyła wszystko, strasznie i całkowicie.

Maksymiljan oglądnął cały ten straszny obraz zniszczenia i łzy zwilżyły powieki jego. Niebolał on nad stratą, jaką poniósł, liczył bowiem, że mu tę stratę zapłaci towarzystwo ubezpieczeń — lecz bolał z zupełnie innego powodu. Widział, jak jedna krótka połowa godziny może zniszczyć cały plon, który tyle pracy i mozołów kosztował i przekonał się, że żaden człowiek niema takiej siły, któraby podołała nieszczęście takie odwrócić, więc serce jego upokorzyło się i Maksymiljan zaczął żałować dawnej pychy i zuchwalstwa. I coraz dokładniej zaczął poznawać całą słabość wszelkich ludzkich usiłowań w obec wszechmocy Pana nad Pany i coraz bardziej przekonywać, że omylił się bardzo odważając się wierzyć, że człowiek pracujący pilnie i wypełniając ściśle wszystkie swoje obowiązki, może się obejść bez błogosławieństwa Tego, co tam

mieszka po nad obłokami. — I cała dotychczasowa pycha jego roztajała we łzach, które wypłynęły z ócz jego i stoczyły się po policzkach.

"Dziękuję Ci, mój Panie nad Pany — szeptał cicho, spoglądająa ku niebu. Tyś mnie pokarał, ale karą tą poprawiłeś serce moje i zbliżył do siebie. Przebacz mi odwieczny Panie, królujący po nad obłokami! Odtąd, cokolwiek tylko czynić będę, niebędę czynił dla własnego zadowolenia, dla dogodzenia sobie samemu, lecz Tobie na cześć, i Tobie na chwałę!"

VII.

PALEC BOŻY.

Tak więc Pan nad Pany doświadczał Maksymiljana, i zsyłał na niego ciężkie próby, które on odbył szczęśliwie, — cięższe jednak daleko czekały go jeszcze. Bóg chciał ażeby on dokładnie poznał całą niedostateczność ludzkich zamysłów, zabiegów i działań i na zawsze wyleczył się ze śmiesznej pychy i zuchwalstwa

Dnia następnego po nawałnicy kazał Maksymiljan zaprząc do kolaski i pojechał do miasta ażeby towarzystwo ubezpieczeń zawiadomić o szkodzie, jaka przez grad wyrządzoną została i zażądać wynagrodzenia. Niepomyślał o tem, i ani byłby się odważył przypuścić, że może tego wynogrodzenia nieotrzymać, gdyż jak najpunktualniej płacił asekuracyę, miał więc wszelkie prawo do wynagrodzenia. A jednak przyjechawszy do miasta, jakże się okropnie rozczarował! Towarzystwo ubezpieczeń zbankrutowało właśnie kilka dni temu i ogłosiło niewypłacalność. Maksymiljan więc nieotrzymał z sumy na którą liczył z całą pewnością ani jednego szeląga.

Kiedy nieszczęsną tę wiadomość usłyszał, stanął jakby piorunem rażony, niewiedząc co się z nim dzieje. Straszny ten cios odurzył go zupełnie burząc od razu całą jego przyszłość i rujnując całkowicie. Wszystko, co mu tylko jeszcze pozostawało z posiadłości, do której ciężką mozołą przyszedł, wystarczało zaledwie na zapłacenie długów które pozaciągał wskutek nieszczęść jakie go dotknęły. To też zdało się nieulegać wątpliwości, że niema już dla niego ratunku i że mu tylko chyba kij żebraczy pozostaje.

Smutne myśli zasępiły czoło biednemu Maksymiljanowi. I co mu pomogły owe wszystkie wysiłki, ażeby stanąć o własnych siłach? Naco mu się przyda owa ogledność i ostrożność, których najpilniej przestrzegał, ażeby się ochronić od wszelkiej szkody? Wszelkie podpory, na których zdało mu się, że bardzo silnie stoi, powaliły się jedna po drugiej, a cała jego mądrość została zbezeczniona, i on nato wszystko niemógł i nieumiał poradzić. Dom jego spalił się do szczętu, mimo przewodnika, jakim go zaopatrzył; stajnie zostały wypróżnione, mimo najzdolniejszego weterynarza, którego na pomoc zawezwał; a teraz znowu nie szczęśliwe bankructwo, o którem nieprzypuszczał nawet, żeby się wydarzyć mogło, wydzierało mu ostatni grunt z pod nóg i wtrącało do przepaści.

Biedny Maksymiljan! Nigdy on jaśniej tego niewidział i dokładniej nieczuł, że każde dzieło ludzkie jest rzeczą niedokończoną, jak w tej oto godzinie — ale też i nigdy jeszcze nieukorzył się tak głęboko przed majestatem Tego, który tam w górze mieszka po nad obłokami, a którego wszechmocna prawica kieruje losami ludzkimi.

"Panie mój i Boże, Tyś dał i Tyś wziął — szepnął po cichu. — Schylam kornie głowę moją przed Tobą i poddaję się rozkazowi Twemu. Jeżeli z doczesnych majątków nic mi niepozostanie, Ty mi przynajmniej pozostaniesz na zawsze i będziesz moją pociechą, moją podporą i moją ucieczką. Jam ciebie znalazł i odtąd już nigdy z Tobą rozłączyć się niechcę!"

Zapomniawszy o nieszczęściu i wysławszy myśli swoje do Boga uspokoił się Maksymiljan iście cudownie. I już ani szemrał, ani burzył ani buńduczył się, lecz przyjął ten los, jaki mu się dostał w udziale, jak się przyjmuje to, czego uniknąć niepodobna było, jako zrządzenie, które mu jeszcze kiedyś na dobre wyjdzie.

I w takiem usposobieniu powrócił do

swej spustoszonej posiadłości i zaczął się spokojnie zastanawiać nad rozpaczliwem położeniem, w jakiem się obecnie znalazł i co mu uczynić należy, ażeby niedoprowadzić do ostateczności i niezostać z tąd wygnanym. Lecz chociaż długo myślał i zastanawiał się, nic niewymyślił. Nigdy jeszcze nieznajdował się w takiem położeniu, tak zupełnie bez wszelkiej pomocy i tak nieumiejąc sobie poradzić — jak w tych oto dniach żałoby. Przyjaciół nieposiadał którychby mógł prosić o zapomogę, a ten jedyny na którego życzliwość zawsze i wszędzie mógł liczyć, zacny i poczciwy Brause sam poniósł niemałą szkodę przez gradobicie i niemógł mu pomódz, chociażby i najszczersze chęci miał potemu. Wierzyciele dowiedziawszy się o rozpaczliwem położeniu, w jakim się znalazł Maksymiljan, zaczęli się cisnąć ze wszech stron, a on nieszczęśliwy niepotrafił ich uspokoić i nakłonić na dalszą zwłokę w zapłaceniu należytości. Wierzyciele więc zaskarzyli go, a wyrok, który sąd wydał, opiewał, że Maksymiljan winien jest natychmiast zaspokoić ich, w przeciwnym razie posiadłość jego z tem wszystkiem co do niej należy w celu zaspokojenia ich zostanie przez sąd na publicznej licytacyi sprzedaną.

"Niech i tak będzie — rzekł Maksymiljan przeczytawszy wyrok. — Niczego innego niemogłem się przecież spodziewać, z spokojnym umysłem zniosę i to jeszcze."

Ażeby jednak niczego nie zaniedbać i nie narazić się na wyrzuty sumienia, pojechał do starego, zacnego pana Brause i powysyłał listy do majętnych krewnych. Poczciwy stary Brause przyjął go bardzo serdecznie tak jak to zawsze dawniej czynił, pocieszył, niepomógł jednak, bo nie mógł, krewni zaś nieodpowiedzieli nawet na listy. Jedyną podporą jaka mu pozostała był Bóg i do niego udając się, uprosił sobie to, czego teraz najbardziej potrzebował, a mianowicie: odwagę, otuchę i wiarę w lepszą przyszłość. I już spokojnie oczekiwał tego, co miało nastąpić, a zaraz potem postanowił udać się do Polski, o której bardzo wiele ładnych rzeczy czytał i słyszał i tam starać się o miejsce zarządcy dóbr, by uzyskawszy takie miejsce i dalej uczciwie pracować i pozostać nadal użytecznym członkiem społeczeństwa ludzkiego.

Nadszedł nareszcie i dzień publicznej licytacyi. Przyjechali urzędnicy, a tych którzy pragnęli nabyć tę posiadłość zgromadziło się tak wiele, że zapełnili cały pokój w którym miała się odbyć licytacya. Równocześnie prawie z rozpoczęciem licytacyi pojawił się i Maksymiljan. Blady był, ale spokojny. Nie widać było chmur na czole jego, ani zwątpienia na obliczu.

Naprzód wystawiono na licytacyę posiadłość Buchenrode wraz ze wszystkiemi zabudowaniami dołami, lasami i łąkami. Potem dopiero miano przystąpić do licytacyi inwentarza. Kupujący jednak dawali tak mało, że Maksymiljan już niebawem spostrzegł, że to wszystko, co wpłynie do kasy, wystarczy zaledwie na zapłacenie długów.

Sprzedaż postępowała powoli, jednę rzecz licytowano po drugiej aż nareszcie i wszystko sprzedane zostało.

"Zostało nam jeszcze, tylko ta stara czarna kasetka — rzekł urzędnik kierujący sprzedażą. — Nie zły, jak się zdaje mebelek jakaś pamiątka familijna Co kto daje?"

Wszyscy milczeli, nikt nieokazał chęci nabycia zapylonej, starej kasetki, Maksymiljan spoglądał na nią żałośnie przypominając sobie dawne dobre czasy.

"Zostaw pan mię tę kasetkę — rzekł po chwili do urzędnika. — Dla obcego niema ona wartości, dla mnie zaś pozostanie zawsze miłą pamiątką."

"Kiedy tak, dajże więc pan za nią cokolwiekbądź — odpowiedział urzędnik z uśmiechem. — Daj pan, choćby kilka tylko groszy, bo darować nie wolno mi nic."

"A więc dobrze, dam to ostatnie, co mam jeszcze. Daję talara — zawołał Maksymiljan.

"Oho, aż nadto, zdaje się dosyć, za tę starą, stoczoną przez robactwo skrzynkę -- rzekł śmiejąc się urzędnik. — Lecz co pan z nią zrobisz, panie Klinger? A zresztą, co mi do tego. To już rzecz pańska! A więc talar jeden — po raz pierwszy — po raz drugi — czy nikt nie daje więcej — i po raz trzeci!".

I spadł młotek na kasetkę trochę sil-

niej jak zwykle, być może dla tego że to był ostatni przedmiot jaki licytowano, a może sprzedający urzędnik uczynił to z pustej swawoli — dosyć, że uderzenie młotka było silne, a zaraz po tem usłyszano jakiś trzask.

“Ai, a to co znowu takiego? zawołał urzędnik zaskoczony tą niespodzianką. — Zdaje się że uderzając młotkiem silniej poruszyłem jakąś ukrytą sprężynę, widać że to jakaś tajemnicza kasetka. Czy pan, panie Klinger słyszałeś ten trzask? i czy znasz pan ten mechanizm?”

Maksymiljan zmieszał się, a na twarzy jego malowała się trwoga, a może nawet obawa. On bowiem tak samo jak urzędnik słyszał ten trzask, a nadto jeszcze i obaczył jak wyskoczyła mała pokrywka, która tak sztucznie była wprawioną w dużą i tak starannie ukrytą pomiędzy snycerskiemi ozdobami, że jej dotychczas niezauważał. Jakieś szczególne przeczucie wstrząsło nim całym. I przypomniał sobie nieboszczyka wuja i niektóre jego wzmianki i testament, który nadaremnie szukał. W pierwszej chwili struchlał Maksymiljan i stał, jakby życie z niego uleciało, po chwili jednak przyszedł do siebie, przystąpił co prędzej do kasetki i wyciągnął z powyżej dopiero co wzmiankowanego ukrycia jakiś pomięty papier. Zaledwie jednak rozłożył go i zaczął mu się przypatrywać a już zaraz rozpromieniła się twarz jego i uniesiony niewymowną radością, wykrzyknął.

“Testament! Ten sam testament, za którym tak długo, tak pilnie i tak starannie szukałem! Ten testament odnajduje się właśnie teraz, kiedy ja z kijem zamierzałem już puścić się w drogę, w świat daleki! Rzadki to zaiste traf! A raczej nie traf! Nie, tylko iście cudowne zarządzenie Przedwiecznego który tam w górze po nad obłokami króluje!”

“Co takiego? co to się stało? Co on znalazł? — pytali przytomni temu spoglądając ciekawie na Maksymiljana. — Wszakże on jest prawie nieprzytomny!”

I w rzeczy samej, to szczęście, które jak by z nieba spadło owładnęło całkiem Maksymiljana. Odnaleziony testament zmarłego wuja, w którym tenże mianuje go jedynym spadkobiercą, robił go w tej chwili, kiedy on zaledwie już parę tylko groszy posiadał bogatym, bogatszym kilkakroć, aniżeli był przedtem. Wszystkim obecnym więcej ciekawym, aniżeli współczucie pokazującym, niemiał Maksymiljan wcale ochoty opowiadać o nagłej zmianie losu, lecz natomiast pożyczył konia od jednego ze znajomych i pojechał co prędzej do zacnego przyjaciela Brause, ażeby jemu o szczęściu, jakie go spotkało opowiedzieć. Na twarzy poczciwego starca malowało się zdumienie, zadziwienie i radość, kiedy słuchał tego opowiadania, a kiedy Maksymiljan skończył pochwycił go w swoje ramiona i ściskając rzekł:

“Winszuje ci Maksymiljanie! Winszuje z całego serca! To nazwać się godzi pomocą w sam dobry czas. O Ty przedwieczny po nad obłokami, dziwnemi nas nieraz prowadzisz ścieżkami, a mimo to, jakże świetnie wyprowadzasz! Maksymiljanie! Na tobie objawiła się widocznie łaska Boża! Pamiętaj, ażebyś o tem nigdy niezapomiał!”

“Nigdy, przenigdy niezapomnę o tem i do grobowej deski dziękować będę niebu za tę łaskę i miłosierdzie — odpowiedział Maksymiljan mocno wzruszony. — Wierzaj mi pan, panie Brause, że nie to niespodziewane szczęście dopiero dopomogło mi poznać mądrość i dobroć Boga! O nie, ja już dawno przedtem poznałem, że on a nie kto inny jest naszym przewodnikiem i ukorzyłem się w głębi serca przed jego wszechmocą. Jak mi się dobrze powodziło, zapomniałem o Tym, co tam po nad obłokami mieszka! Przyznaję się do tego. Lecz kiedy prawica Jego dotknęła mnie ciężko, kiedy coraz głębiej leciałem w przepaść, a równocześnie zacząłem poznawać całą niedostateczność sił moich i przekonywać coraz bardziej o zupełnej mojej bezwładności i nieporadności, wówczas zacząłem szukać Pana nad Pany i znalazłem go, upadłem w proch przed nim na kolana. I niężałowałem strat, jakie poniosłem, i nie ubolewałem nad niemi, lecz przyjąłem to wszystko jako karę Bożą za moje zuchwalstwo. A teraz zsyła mi Pan nad Pany znowu szczęście, na które wcale niezasłużyłem, to też i teraz niepozostaje mi nic innego jak ukorzyć się

przed nim, upaść w proch na kolana i ślubować, że szczęścia tego użyję na cześć i chwałę Jego i na pociechę bliźnich moich! Niechcę żyć bezczynnie i gardzić mojemi siłami, gdyż one są również darem z łaski Pana nad Pany — ale zato powodzenie wszelkich moich prac i zabiegów chcę odtąd zdać na Niego tylko i Jemu tylko dziękować za wszelką pomyślność, która uwieńczy te prace i zabiegi. Tezaz poznałem i widzę jasno, że my ludzie niczem innem niejesteśmy, jak tylko narzędziem w ręku Pana nad Pany, i że każdy z nas przedewszystkiem o to starać się powinien i do tego dążyć, ażeby był dobrem i dzielnem narzędziem. Dążenie takie jest w naszej mocy i jest naszym obowiązkiem. A kto obowiązek ten wypełnia, może spokojnie zaufać Panu nad Pany i całe powodzenie zdać na Niego, bo On nieopuszcza nigdy tych, którzy się w pokorze korzą przed Nim i wszystko osiągnąć pragną, wszystkiego spodziewają się i życzą sobie, tylko przez Niego, Jego łaskę i miłosierdzie."

"Amen, amen, mój ty kochuny synie — zawołał zacny starzec Brause, wzruszony i uradowany, widząc że młody przyjaciel jego, po tylu doświadczeniach zmienił nareszcie zupełnie zapatrywania swoje. — Jeżeli ty tak myślisz, tak chcesz teraz postępować i tak działać, natenczas nietylko ludzie będą cię szanować i mieć w tobie upodobanie, ale i niebo błogosławić cię będzie; — a w szczęściu i nieszczęściu, w chwilach radości i boleści, w potrzebie i przy skonaniu będzie twą najsilniejszą podporą, najbezpieczniejszą zasłoną, i największą pociechą:

"Ten, co po nad obłokami, nasz Ojciec, nasz Bóg, nasz Pan."

KONIEC.

FR. HOFFMAN.

GŁOS PANA NAD PANY.

OPOWIADANIE DLA MŁODYCH MOICH PRZYJACIÓŁ.

PRZEŁOŻYŁ.

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

I.

W szkółce i w lesie.

Było to na wiosnę, a miluchne promienie słoneczne wdzierały się przez niewielkie okna do szkółki wiejskiej, w której licznie zgromadzona dziatwa siedząc spokojnie na ławkach drewnianych z uwagą jak największą słuchała słów nauczyciela. Nauczyciel Ewald był to wprawdzie mężczyzna już wiekowy z białymi jak śnieg włosami, mimo to niebieskie oczy jego widziały wszystko jeszcze jasno, rumieniec krasił policzki, a głos jego był tak pełny i dźwięczny jakby jakiego młodzieńca.

"Tak, tak moje dzieci" — mówił do chłopiąt i dziewcząt słuchających go jak najuważniej — jak pewnem i prawdziwem jest, że Pan nad Pany, Bóg nasz wszędzie jest i na każdem miejscu, jak daleko wiatry wieją a obłoki się wznoszą, tak również pewnem i prawdziwem jest, że wszędzie mo-

żecie usłyszeć głos jego, jeżeli tylko uważnie a sercem i duszą podsłuchiwać będziecie. W szmerze strumyka przemawia do nas Pan nad Pany, tak samo jak w trzasku pioruna i w wyciu wichrów i opowiada nam o swojej wszechmocy i potędze. Gdziekolwiek tylko się znajdziecie, czy to pomiędzy górami, czy na głębiach morskich, czy na zupełnie bezludnem pustkowiu, czy pośród największego zgiełku ludzi — wszędzie będzie przy was Pan nad Pany i wszędzie mówić będzie raz głosem gromowym, a drugi raz powolnym szeptem wiaterku, który muska konarami drzew. Starajcie się tylko zrozumieć znaczenie tej mowy, a często bardzo pocieszy was ona lub wzmocni, doda otuchy lub podźwignie wedle tego, czy pociechy czy otuchy potrzebować będziecie. Głos pana nad Pany napomina was, abyście dobrze czyniły, przestrzega, abyście czego złego niepopełniły i wskazuje drogę, którą przez całe życie chodzić powinneście, ażeby w końcu posiąść królestwo niebieskie. Podsłuchujcie tylko, kiedy zaś usłyszycie ten głos, idźcie za nim, a będzie wam z nim dobrze chociażby troska, frasunek, bieda lub niedostatek dokuczać wam miały. Szczęścia bowiem tu na ziemi w ciągu waszego życia nie da wam to, co was otacza, lecz dać go może jedynie serce, na którem nic nie cięży, dać go i zapewnić może czyste sumienie i spokojność duszy. One są największymi skarbami tego świata i każdy je posiędzie, jeżeli podsłuchiwać będzie głosu Pana nad Pany, a usłyszawszy go, pójdzie za nim."

Temi słowy zakończył nauczyciel Ewald dzisiejszy swój wykład, dzwon bowiem na niedalekiej wieży kościelnej już chwilę przedtem wybił godzinę jedenastą.

"Rozejdźcie się a pamiętajcie dobrze o tem, o czem teraz mówiłem. Może nie jedno z was moje dzieci nie zrozumiało tych słów moich, lecz szukajcie tylko dobrze a znajdziecie ich znaczenie i sercem waszem odgadniecie głos Pana nad Pany. Niech was Bóg dobry prowadzi!"

Po tych słowach powstały dzieci, zabrały swoje tabliczki, książki i kajety i poczęły się pocichu rozchodzić żegnając nauczyciela ukłonem. Niektórym z kłaniających się podawał nauczyciel rękę, innym kiwnął tylko głową, a każde z tych których podaniem ręki zaszczycił, czuło się nader szczęśliwem. Niebawem rozeszły się wszystkie, pozostały tylko dwoje, chłopczyk i dziewczynka, które prowadząc się za ręce ostatnie wychodziły. Z szczególnem upodobaniem spoglądał na nie nauczyciel.

"Niech cię Bóg prowadzi i strzeże Stefanie i ciebie mała Marylko", mówił do nich. "Dziś po południu szkoły niema, cóż więc będziecie robić?"

"Ja pójdę do lasu po gałęzie," odpowiedział chłopczyna spoglądając wzrokiem pełnym wdzięczności na ukochanego nauczyciela. "Mama właśnie rano nakazała mi to uczynić."

"A ty Marylko?"

"Ja pójdę razem z Stefanem" odpowiedziało dziewcze. "Tam w lesie tak miło! Ptaszki śpiewają tak ładnie, tysiące kwiatów tam wszędzie, a po nad tymi kwiatami roje motyli. Te łapie dla mnie Stefan, a kiedy dużo nałapie przypatrujemy się im długo, zachwycamy się lśniącemi ich skrzydełkami, a potem puszczamy, ażeby dalej poleciały. Nieprawdaż, że niewolno ich zaduszać?"

"Ależ pewnie — odpowiedział nauczyciel — gdyż najmniejsze nawet stworzenie cieszy się z życia i dobroci Boga tak samo jak i człowiek. A więc idźcie i orzeźwijcie się cudną zielenią tego pięknego lasu, który również kościołem Pana nad Pany nazwanym być może."

Poczem kiwnął do nich głową, dziatki ukłoniły się i poszły prowadząc się za ręce. Szły długo pomiędzy małymi dworkami i chatami aż zaszły nareszcie na koniec wsi i stanęły przed dworkiem, którego dach ocieniały konary rozłożystych lip. Stefan stał zamyślony i milczał, Marylka więc niewiedząc, coby to miało znaczyć zagadnęła:

"Stefanku, co tobie dzisiaj takiego? Przez całą drogę nie rzekłeś do mnie ani jednego słowa a i teraz jesteś tak milczącym jak pstrągi w rzeczułce. Czy może gniewasz się na mnie?"

"Broń Boże! gdzieżtam", odpowiedział chłopczyna podniósłszy głowę i spoglądnął uprzejmie na swoją towarzyszkę. "Mnie z

głowy wyjść nie może to, co dzisiaj pan Ewald przy końcu wykładu mówił jakoby wszędzie słyszeć można było głos Pana nad Pany. Niewiem jak pan Ewald to rozumiał, bo ja, jak długo żyję nie słyszałem jeszcze Boga mówiącego. A ty Marylko — ty słyszałaś już?"

Dziewczę pokręciło główką, spojrzawszy poważnie, i —

"Nie, ja także niesłyszałam — odpowiedziało. — Lecz i ja także niewiem, jak pan Ewald to rozumiał. Ależ dlaczego wziąłeś to sobie tak zaraz do serca? Może dopiero później kiedy wyrośniemy będziemy mądrzejsze, zrozumiemy to, o czem pan Ewald dzisiaj mówił."

"Nie, nie, Marylko – zawołał chłopczyna — tak długo niepodobna nam czekać. Przypomnij sobie tylko, że pan Ewald polecił nam zastanawiać się nad tem, o czem mówił, a przecież winniśmy to czynić, co nam kochany nasz nauczyciel zaleca."

' Tak, to prawda — odpowiedziało dziewczę — masz słuszność. Lecz wiesz co, po południu pójdziemy do lasu, tam więc będziemy się nad tem zastanawiać i podsłuchiwać, czy może tam nie usłyszymy głosu Pana nad Pany. Tam w lesie cichutko wszędzie, jeżeli więc z uwagą podsłuchiwać będziemy, nie przebrzmi żaden głos, abyśmy go nieusłyszały."

"Stefanie, a ty czemu znowu tam tak długo stoisz i próżniaczysz? zawołał ktoś z wnętrza domu głosem podniesionym. "Natychmiast chodź tutaj, do południa bowiem jest jeszcze nie jedno do zrobienia!"

Dzieci przelękły się usłyszawszy to wołanie. "Mama woła mnie. Bądź zdrowa Marylko! a po południu o godzinie trzeciej spotkamy się na kraju lasu."

'Ja przyjdę pewnie" — odpowiedziała Marylka — do widzenia więc o trzeciej' poczem podali sobie oboje rączki na pożegnanie i Stefan pobiegł do matki, a Marylka poszła dalej, rodzice bowiem jej mieszkali już na samej granicy wsi.

Dzieci te były w równym wieku, od pierwszych lat bawiły się razem, a rodzice tak jednego jak i drugiego byli bardzo ubodzy. Właśnie jedno i drugie ukończyło dopiero rok dziesiąty, a jnż cały czas wolny po za szkołą musiały pracować. Zawsze jakaś robota znalazła się dla nich. W zimie Marylka przędła, robiła pończochę, szyła, lub o ile jej siły na to pozwalały, pomagała matce przy gospodarstwie. A i Stefanowi nie wolno było również czasu mitrężyć. On więc chodził z ojcem do dworu właściciela wsi, gdzie zawsze dla niego przygotowano jakąś robotę, którą ku ogólnemu zadowoleniu wykonywał. On wiedział już jak trza chodzić około krów, owiec i koni, więc nietylko w niejednem pomógł ojcu, który służył we dworze, lecz nadto jeszcze czasami zarobił kilka groszy które inspektor dóbr wypłacał pilnym chłopcom, a które w domu matce były bardzo pożądane. A po całodziennem zajęciu takiem spędzał następnie Stefan bodaj godzinkę w miluchnem towarzystwie młodej swej przyjaciółki Marylki. Spieszył bowiem zaraz skoro tylko ukończył robotę do chaty rodziców Marylki i tam, podczas kiedy ona przędła, on niepróżnował również, lecz robiąc to, co mu przeznaczono opowiadał jej swoje przygody dniowe i szczebiotał z nią, jakby brat z siostrą, jeżeli się szczerze kochają.

Tak było w zimie. A kiedy wiosna nadeszła, było znowu co innego do czynienia — potrzeba było siać, sadzić, ogrody przy domach urządzać, suche gałęzie znosić z lasu i tak dalej. W tym to czasie widywał się Stefan z Marylką już dłużej czy to na polu, czy w ogrodach, które na wiosnę zasadzano najróżnorodniejszymi krzewami, kwiatami i nasionami. Zazadzone i zasiane nasiona w niedługim czasie poczęły kiełkować, a następnie rosnąć, a kiedy lato nadeszło pełno było w tych ogrodach sałaty, jarmużu, agrestu, porzyczek, grochu, ogórków, a co znowu ci biedni ludzie częścią sami spożywali, częścią wynosili do niedalekiego miasteczka, gdzie to wszystko korzystnie sprzedawali. Później podczas żniw i sianożęcia niezabrakło również dla Stefana i Marylki zatrudnienia i czas ten był dla tej dziatwy najszczęśliwszym, gdyż jak długo trwało żniwo i sianokos, zawsze one znajdowały się razem dniami całymi, tak bowiem jakoś potrafiły to urządzać, że zawsze znalazły się obok siebie na jednem polu, lub tej samej łące.

Rozliczne roboty, jakie dokonują się w jesieni, a które im bliżej ku zimie tem więcej dokonywane bywają w domu, rozdzielały znowu dziatwę, W tej porze roku pozostawały im tylko wieczory, którymi zwykle się schodziły i szkoła; w której jedno obok drugiego siadywało zawsze i dla tego też, skoro jednego z nich zabrakło, natychmiast wszystkie dzieci rozciekawione pytały się, co się z niem dzieje?

Biedne to były dzieci, wiele i bardzo wiele brakowało im z tych rzeczy, bez których człowiek rozpieszczony żyćby niepotrafił, ale mimo to jednak czuły się zupełnie szczęśliwemi, niezazdrościły nikomu niczego i żyły bez trosk niemyśląc wcale o przyszłości. Lecz pocóż i na cóż miałyby to czynić? Wszak skromne bardzo ich wymagania nie trudno było zaspokoić, a o zbytku czy to w ubieraniu się, czy w pożywieniu, czy wreszcie w urządzeniu domu niemiały najmniejszego wyobrażenia i dla tego smakowały im kartofle i jarzyna tak dobrze, jak innym pasztety i pieczenie, a może nawet i lepiej, praca bowiem i ruch na świeżem powietrzu przysparzały im apetytu, a ubrania płócienne i z grubej wełny, były dla nich również bardzo dogodne; w płóciennych bowiem nie było im w lecie za gorąco, drugie zaś, to jest te z grubej wełny chroniły ich znowu od mrozów. Nie strojono ich, lecz natomiast bacznie przestrzegano, ażeby każde z nich czyściutko było ubrane, żeby w odzieży nie było choćby najmniejszej dziurki. Na to uważali rodzice i poczciwy nauczyciel Ewald. Wszędzie można było napotkać dziatwę ubraną kosztowniej, czyściej jednak nigdzie jak tam w tej szkółce, a przedewszystkiem Stefana i Marylkę. Dodajmy do tego, że u obojga twarzyczki były ładne i okraszone jeszcze ładniejszym rumieńcem, że uśmiech igrał na ich usteczkach, a łatwo nam będzie zrozumieć, że dzieci takie musiały się każdemu, kto je tylko obaczył, podobać.

Jeszcze godzina trzecia nie wybiła na wieży kościelnej, kiedy Stefan włożywszy na plecy lekką drewnianą podstawkę, na której zwykle nagromadzone gałązki do domu znosił, wyszedł z domu rodziców i spiesznym krokiem a najkrótszą ścieżką podążał do lasu, którego krawędzie zieleniły się pół mili za wioską. Ubranie chłopczyny odpowiednie było porze roku: koszula z grubego płótna i z takiego samego płótna kurtka i spodenki. Szkarpetek i trzewików nieprzywykł nosić chłopczyna w tych miesiącach, kiedy promienie słoneczne przypiekają, rodzice bowiem jego nazywali to zbytkiem, i tak samo nie miał żadnego nakrycia na głowie, okrywały ją tylko śliczne sploty ciemnych włosów.

Ochoczo podążał naprzód, a bose jego nóżki posuwały się tak chyżo po uścielonej murawą drodze, jak gdyby skrzydełka miały. Niedaleko już od lasu krzyknął: "Ho, ho, Marylko!" a zaraz potem wybiegło miluchne dziewczątko z pomiędzy krzaków, gdzie siedziało ukryte przed spieką słońca.

"Ja tutaj Stefanku," odpowiedziano również głośno, "jesteś punktualny! ja tu bowiem również niedawno dopiero przyszła."

"I ja byłbym także już przed chwilą był tutaj, tylko matka niepozwoliła prędzej wychodzić z domu" odpowiedział chłopczyna. "Teraz jednak jestem już na oznaczonem miejscu, będziemy więc mogły razem pobiegać po lesie."

Domawiając słów ostatnich podał Marylce rękę, która ją po przyjacielsku ściskała.

"Chodź więc." mówiła Marylka. "Naprzód nazbieramy gałęzi tyle, ile się zmieści na twojej podstawce a potem pobiegamy po lesie."

Stefan przystał na propozycyę i zaraz potem wyciągnął z pnia próżnego niewielką żerdź z hakiem żelaznym i wszedł z towarzyszką swoją do gęstwiny. Oboje zabrały się pilnie do roboty, byle jak najprędzej uzbierać potrzebną ilość drzewa. Marylka zbierała suche gałązki, jakie na ziemi leżały, a Stefan ściągał je znowu za pomocą swojej żerdzi z drzew. Zbierały one już nieraz w tym lesie gałęzie, miały więc w tem doświadczenie, to też i w niedługim czasie uzbierały tyle, że Stefan dał znak Marylce, ażeby dalszego zbierania zaprzestała. Złożyły więc wszystko co nazbierały na podstawkę, Stefan wyjął sznur, związał wszystkie gałęzie i odniósł do owego spruchniałego pnia, gdzie zwykł swoją żerdź przechowy-

wać, żerdź włożył do wnętrza pnia, podstawkę zaś wraz z wiązanką postawił obok i tak uporawszy się ze wszystkiem zawołał uradowany:

"Zrobiłyśmy więc wszystko, co było do zrobienia a zanim się sciemnieje mamy jeszcze dobre trzy godziny czasu do zabawy!

"Dobrze," odpowiedziało dziewczątko. "Chodźmy więc bawić się, tylko niezapomnij zabrać siatki, bo może się przyda. Dzisiaj bowiem jest bardzo gorąco, najlżejszy nawet wiaterek nie muska konarów drzew a w takim czasie latają najpiękniejsze motyle."

Stefan kiwnął główką, wyciągnął z ukrycia siatkę, którą uszył z jakiegoś starego welona, znalezionego pomiędzy krzakami i pobiegł z Marylką w głąb lasu. Biegł różnemi drożynami, które się w najróżnorodniejszych kierunkach krzyżowały. Stefan znać je musiał wszystkie bardzo dobrze, nienamyślał się bowiem ani chwili na żadnej z nich, którą by biedz dalej należało. Tak biegnąc całą pół godziny w cieniu buków i wspaniałych dębów, dobiegł do pieknej łąki, zasianej miljonami żółtych, różowych i niebiekich kwiatków, wyglądającej więc jak bogato tkany kobierzec. Tu dopiero poczęły się harce, a pośród tych harców Stefan nałapał swoją siatką mnóstwo motyli. Marylka zaś co chwilkę przysiadała i jakiś kwiatek uszczknęła, z których potem trzy ładne wianki uwiła. Po niejakim czasie czując się już trochę zmęczonym zaprzestał Stefan łapania motyli i zrobił Marylce następującą propozycyę:

"Widziałem przedwczoraj norę lisią z młodemi lisiątkami — mówił do niej wypuszczając z siatki przecudnie lśniącego motyla, którego przed chwilą był złapał — czy niemasz chęci oglądnąć ją także?"

"Ale i owszem — brzmiała odpowiedź — cóż to są za zwierzątka?"

"Cztery śmieszne hultaje! Śmiać się będziesz do rozpuku, kiedy obaczysz jak się bawią. Ztąd jednak jest kawałek drogi do tej nory, jeżeliś więc bardzo zmęczona, to pójdziemy kiedy indziej."

"Nie, nie, nie jestem bynajmniej zmęczona," zapewniała Marylka, a podniósłszy wszystkie wianki i zawiesiwszy je na ramieniu zapytała rażno: "Którędyż droga tam prowadzi?"

"Przez ten oto grunt, na którym zwykle kozy się pasą, a następnie daleko, bo tam do starego buka, a nadto droga jest bardzo zła, bo ciągle to z góry, to znowu do góry."

"Wszakżeż to zaledwie godzina drogi! a więc naprzód, prędzej, ja bowiem w całem życiu mojem nigdy jeszcze nie oglądałam nory z młodemi lisiątkami."

Stefan ucieszył się bardzo widząc, że Marylkę nie przestrasza droga uciążliwa, to też co prędzej podał jej ramię i zwrócił na drogę prowadzącą do nory.

W całym lesie panowała cisza niezwykła. Wierzchołki drzew nie szumiały, żaden listek nieporuszał się. Zdawało się, jakoby parne powietrze przygniatało całą przyrodę, i każdą oznakę życia chciało udusić. Promienie tylko słoneczne przedzierały się przez gęsty las i dopadłszy jakiejś żyjącej istoty piekły ją jakby ogniem. Gdy wtem raptem zmienił się cały baldachim niebieski i z jasnego dnia zrobiła się straszna, przerażająca ciemnica. Równocześnie z tem poczęły lekko szumieć korony drzew w oddali, a szum ten zbliżał się z każdą chwilą bardziej i z każdą chwilą stawał się coraz bardziej silniejszym, aż w końcu jako wicher gwałtowny począł łamać gałęzie i trząść najstarszemi nawet drzewami, które chyląc się na wsze strony zdawały się jęczeć.

Raptowna ta zmiana dnia jasnego na ciemną noc i niezwykłej ciszy na najokropniejsze wycie wichru przeraziła oboje dzieci, które stojąc tuż obok siebie wzrokiem wystraszonym na się spoglądały. Łoskot, który jest prawie zawsze bezpośredniem następstwem oślepiającej błyskawicy i bicie piorunów przeraziło je jeszcze bardziej, to też nie wiele brakowało, a byłaby się Marylka już rozpłakała. Jak mógł i potrafił tak uspokajał ją Stefan. "Nieobawiaj się, — mówił — wszakże to nawalnica, przejdzie więc prędko."

"Dla czego my teraz nie w domu?" westchnęła Marylka.

"Wszak to na jedno wychodzi, czy w lesie, czy w domu," odpowiedział Stefan.

"Dobry bowiem Bóg jest wszędzie z nami i wszędzie wyciąga rękę, która nas chroni. Ale posłuchajno jak okropnie biją pioruny, co to za łoskot a jaki straszny wicher, zdaje się jakoby góra cała zawalała się. Groźne to wszystko wprawdzie, zarazem jednak jakże wspaniałe!"

"Mnie się to takiem wcale niewydaje, mnie to tylko coraz więcej przestrasza," odpowiedziała Marylka i przytuliła się cała drżąca do swojego towarzysza. "Teraz poczyna i deszcz jeszcze lać jak z cebra! obmokiemy więc pięknie!

"Tak znowu źle niebędzie" pocieszał ją Stefan. "Korony drzew będą nas osłaniać bodaj czas jakiś, zresztą prawda, wszakże widziałem ztąd niedaleko pieczarę, tam więc bezpiecznie możemy się schronić. Podaj rękę, przebiegniemy ten kawałeczek prędko.".

Marylka pochwyciła go za rękę i tak złączone dzieci poczęły się przedzierać przez gęstwinę. Deszcz lał jak z cebra, ale korony drzew chroniły ich jako tako a po upływie najwięcej pięciu minut dobiegły do pieczary głębokiej, która ich nietylko od deszczu, ale i przed niebezpieczeństwem każdem ochronić mogła. Poszły bowiem aż na sam koniec pieczary i usiadły jedno przy drugiem na ławeczce kamiennej, która się tam znajdowała. Tak ochronione, mogły obecnie całkiem spokojnie przypatrywać się gwałtownemu deszczowi, przysłuchiwać biciu piorunów i wyciu wichru. Tu były bezpieczne i dla tego też Marylka niebawem uspokoiła się nieco.

"Jeżeli to jest głos Pana nad Pany — zagadnęła po chwili — to strasznym on jest, bo napełnia serce moje trwogą. Nie, to niepodobna, ażeby ten dobry Bóg ojciec każdego stworzenia w ten sposób do dzieci swoich przemawiał. Ja nie mogę uwierzyć temu co pan Ewald dzisiaj rano nam opowiadał."

"Nie powinnaś Marylko brać tego całkiem literalnie," odpowiedział Stefan zastanowiwszy się. "Dobry Bóg nie mówi do nas tak, jak człowiek do człowieka. Kto głos jego zrozumieć pragnie, musi dobrze uważać. Zresztą ja także niewiem, jak pan profesor to rozumiał, jakkolwiek cały dzień o tem tylko i wciąż myślałem, ale ja sądzę, że my przecież do tego dojdziemy. Panie! Boże mój! coby to miało znaczyć?"

W tem przeraźliwie światło błyskawicy oświetliło dzieci a niezwłocznie potem dał się słyszeć okropny łoskot, który przestraszone tem wszystkiem dzieci ogłuszył. Zdawało się, jakby sklepienie niebieskie zawaliło się i całe na ziemię spadło. Dzieci krzyknęły głośno i na minut kilka straciły przytomność. Kiedy przyszły do siebie, ciemno było w około nich, a wycie wichru dolatywało do uszów ich jakby przytłumione.

"Co tu się stało? co było?" zapytała Marylka do chwili. "Stefanie, na miłość boską powiedz, czy żyjesz jeszcze? Ja cię nie widzę."

"Nie lękaj się Marylko, jestem tu, obok ciebie, nic mnie się wcale nie stało," odpowiedział Stefan i objął małą, drżącą przyjaciółkę ramionami swojemi. "Co się jednak stało, nie wiem, tak samo jak i ty, a dziwię się tylko, żeśmy jeszcze przy życiu. A tobie Marylko, nicże się również nie stało?"

"Nic, przynajmniej nie czuję żadnego bólu — odpowiedziało dziewczę — ale boję się czegoś strasznie. Dla czego tu tak ciemno? Ja nic nie widzę, niczego zgoła! Litościwy Boże, czyż miałybyśmy poślepnąć?"

"Ależ nie, uspokój się tylko — odpowiedział Stefan — spojrzyj tylko tam w górę, czy nie widzisz blasku światła?"

"Tak, tak, dzięki niebu, widzę tam jakieś światełko," odpowiedziała mała radośnie. "A więc nie jesteśmy ślepi, zdaje się jednak, że wychód z pieczary zamknięty tak jak by drzwiami i dla tego tak tu ciemno."

"I mnie się tak to wydaje — odpowiedział Stefan — niemogę tylko pojąć, ktoby nas tu zamknął. Zresztą o tem zaraz się przekonamy! Siedź tu spokojnie, ja pójdę oglądnąć wychód i zobaczę, coby to być mogło."

Powstał więc z ławki i poszedł w kierunku gdzie światło błyszczało. Lecz jakaś zimna, twarda i wilgotna massa zamknęła mu raptem drogę, potknął się i byłby był upadł, gdyby szybko wyciągniętą ręką nie był napotkał punktu oparcia. Kiedy zaś podźwignął się na nogi i rękami w około macać zaczął przekonał się, że to wilgotny odłam skały. Wówczas okrzyk podziwu ra-

czej, jak obawy wyrwał się z ust jego.

"Marylko, pieczara rzeczywiście zamknięta — zawołał — ogromny odłam skały zatarasował wychód z niej. Prawdopodobnie piorun strącił go z góry, albo ulewa wypłukała całkiem fundamenta jego i on nie mając się na czem oprzeć zleciał. Przybliż się i spojrzyj sama, tylko uważaj, abyś się niepotknęła — ja bowiem o mało co nie upadłem."

Marylka więc uważnie stąpając zbliżyła się i poczęła obmacywać własnemi rękami ową ogromną skałę, która im całkiem wychód z pieczary zamknęła, w górze tylko pozostał niewielki otwór, którym widzieć można było, co się zewnątrz dzieje. I przez ten otwór widziały dzieci chmury i od czasu do czasu przelatującą błyskawicę. Słyszały one wprawdzie także i bicie piorunów i deszcz ulewny, ale pierwsze wydało im się teraz o wiele słabsze. Marylka z przestrachu uchwyciła się oboma rączkami swego towarzysza.

"Boże wielki, myśmy uwięzione," zawołała drżącym głosem. "Ten otwór tam na górze jest za mały, ażebyśmy przez niego wydostać się mogły, a siły nasze nie podołają skałę tę usunąć. Stefanie my nie potrafimy nic takiego uczynić, ażeby się uratować! My musimy tu nędznie umrzeć z głodu! O Boże mój! Boże, jakże to okropne!"

"Ależ Marylko nierozpaczaj i nieobawiaj się zaraz najgorszych następstw" — odpowiedział Stefan chcąc ją do milczenia przywieść, jakkolwiek i on nie mało troskał się. Ów otwór bowiem na górze był w rzeczy samej za mały, ażeby można było wyleźć przez niego z pieczary, gdyby nawet im się udało wydrapać aż tam do niego, a poruszyć skałę, która im wychód zawaliła, było również niepodobnem, nie miały bowiem dzieci sił po temu.

"Bądź spokojną, dobry Bóg pomoże nam — mówił chłopczyna niby z spokojem. — Wszakże On tu wewnątrz tej pieczary jest tak samo przy nas, jak był tam zewnątrz w lesie. Jakże możesz przypuszczać Marylko, że On miałby zapomnieć o nas biednych, niewinnych stworzeniach i dopuścić, abyśmy tu zginęli. Będziesz widzieć, że skoro tylko dzisiaj wieczorem do domu niepowrócimy, zaraz domyślą się nasi rodzice, że się nam coś wydarzyć musiało i przyjdą nas szukać."

"Ale jakże nas znajdą? — zapytała Marylka. — Od kogoż dowiedzą się, że my właśnie tutaj w tej pieczarze zamknięte siedzimy? Skała za gruba, ażeby przez nią zobaczyć można!.

"To nic — odpowiedział Stefan — oni będą nas wołać, my im odpowiemy i on usłyszą nas, a kiedy usłyszą odwalą skałę, dla nich to bowiem nie będzie trudnem. Bądź spokojną, nieobawiaj się niczego! Przez tę noc będzie trzeba już tu pozostać, ale jutro skoro świt niewola nasza skończy się."

Słowa te uspokoiły nieco przelęknioną Marylkę, bo zresztą Stefan miał w istocie słuszność. W domu wiedziano przecież gdzie dzieci poszły a więc skoro się gdzieś zapodziały będą wiedzieć również gdzie je szukać — jeżeli nie dzisiaj jeszcze, to już całkiem pewnie jutro."

"Tak, tak się niezawodnie stanie, jak ty mówisz Stefanku — odpowiedziała Marylka — zaś istnym, lękliwym zającem jestem. Lecz teraz pozbyłam się już wszelkich obaw i w tej tu pieczarze prześpimy się tak samo dobrze, jakby pod rodziców naszych strzechą."

"Ależ pewnie, ja również tak samo sądzę moja Marylko — mówił Stefan — i dlatego czekajmy jak najspokojniej, co się dalej stanie. Nie jesteś ty jednak głodną? Mam, na szczęście duży kawałek chleba, który matka dała mnie na podwieczorek, a który zabrałem ze sobą i kawałek sera. Powiedz więc czyś nie głodną?

"Dziękuję ci Stefanku" odpowiedziała Marylka. — "Ja byłam również przezorną jak i ty i zabrałem podwieczorek ze sobą w przekonaniu, że dopiero późno wieczorem wracać będziemy do domu. Mama dała mnie dwa wosiane placki, które wczoraj z dworu dziedzica przyniosła."

"Kiedy tak, to bardzo dobrze, bo nie będziemy głodu cierpieć — mowił Stefan uradowany. — Zjadłszy to co mamy, będzie można całkiem spokojnie ranka w tem więzieniu wyczekiwać."

Poczem począł na około macać, a macając natrafił na odłamany kawałek skały

Ten więc zatoczył pod sam otwor, przez który wraz z Marylką mógł obaczyć bodaj kawałeczek nieba. Co uczyniwszy, usiadł na tym kamieniu wraz z Marylką, ażeby patrzeć co się zewnątrz dzieje.

Z początku obaczył tylko te same jeszcze szare chmury, które już przed tem widział, nie długo jednak po tem ukazał się świetlany kawał nieba a widok ten powitał Stefan radośnym okrzykiem.

"Patrz Marylko! burza przestała już szaleć — mówił do niej. — W naszej jaskini robi się jaśniej, a to jest pewnem, że w niedługim czasie i słońce ukaże się na niebie. Widzisz, tak samo jak jak ta burza się skończyła, tak samo skończy się i nasza niewola."

"Miejmy przynajmniej taką nadzieję," odpowiedziała Marylka.

Siedziały biedne dzieci długi czas spokojnie, a każde z nich zamyślone spoglądało przez otwór. Po niejakim jednak czasie obaczyły, że ten kawałek nieba począł lśnić się złotemi barwami, czerwone zaś chmurki z śrebrnymi rąbkami przekonały ich znowu, że słońce ma się ku zachodowi. Nie długo potem zagasł blask wszelki, błękit nieba począł również powoli niknąć, a w pieczarze tak samo jak i zewnątrz tejże z każdą chwilą było ciemniej, aż w końcu nadeszła noc czarna. Marylkę strach zdjął znowu i jeszcze bliżej przysunęła się do Stefana.

"Czy znowu się lękasz?" zapytał tenże.

"Nie, nie lękam się — odpowiedziała— nie mam jednak otuchy od chwili jak czarna noc nastała."

"Spoglądnij tylko tam na górę — mówił Stefan — a obaczysz coś takiego, co cię pocieszyć może."

Marylka spojrzała i obaczyła piękną, dużą jaśniejącą gwiazdę.

"Ach! jakaś ona ładna! — zawołała podniesionym głosem. — Czyż nie wygląda to tak jakby ta gwiazda uśmiechała się do nas i chciała mówić: "Nie lękajcie i nieobawiajcie się niczego dzieci. Oko Boga promienieje tak samo miłośnie nad wami, jak ja i On wam pomoże i ztąd was wydobędzie, kiedy będzie potrzeba. Czy tobie się tak samo nie wydaje Stefanku?"

"Tak Marylko," mówił chłopczyna namyślając się. "Tylko to nie gwiazda przemawia do nas. Mnie się zdaje, że zaświtało w mojej głowie i poczynam pojmować to, co pan Ewald dzisiaj rano do nas mówił. A ty Marylko zrozumiałeś go już? To nie on do nas mówi, lecz jest to głos Pana nad Pany, który przez nią do nas przemawia. O! ja ją rozumiem! "Czego boicie się i drętwiejecie przed strachem — mówi ona — czyż niejestem ja Bogiem wszechmocnym, który gwiazdom drogi naznacza, a którego prawica całym światem kieruje i rządzi? Tam gdzie wy jesteście, tam i ja jestem i ja was dzieci uratuję, ażebyście mnie wielbiły!" Tak ja rozumiem ten głos, który przez tę gwiazdę przemawia i czuję się tak pocieszonym i tak spokojnym, jak gdybym się znajdował w domu pod opieką ojca i matki."

"I ja zaprawdę powiadam ci również— mówiła Marylka ożywiona. — Ty Stefanku mądrym jesteś chłopcem, masz zupełną słuszność, odgadłeś prawdziwe znaczenie. Bo czyż nie mówił pan Ewald: w biciu piorunów, w wyciu wichrów, w szmerze strumyka mówi Pan nad Pany do was! Więc czyż nie może tak samo przemawiać do nas przez te świecące gwiazdy na niebie? Tak, ja go również teraz pojęłam i czuję się tak samo jak ty pocieszoną i uspokojoną, pozbyłam się już wszelkiej trwogi. Dobry Bóg jest przy nas! Więc i nic złego nam się stać nie może, kiedy silną swą prawicę trzyma nad nami i nią nas chroni. Dziękuję ci Stefanku, żeś mnie nauczył poznawać i rozumieć głos Pana nad Pany. Od dzisiaj niezawodnie nie raz jeszcze usłyszymy ten głos, nigdy zaś nieprzestaniemy czuwać, ażeby go usłyszeć, a usłyszawszy, wybadać znowu znaczenie jego!"

Stefan nic na to nieodpowiedział, tylko uścisnął serdecznie rękę Marylki na znak, że się z nią zupełnie zgadza. I znowu siedziały dzieci spokojnie i przypatrywały się gwiazdzie — przyjaciółce i pocieszycielce. Po niedługim czasie zabłysły i inne gwiazdy na firmamencie, a każdą z nich witała zamknięta w pieczarze dziatwa radośnie jakby dobrego przyjaciela rodziny. Znużyły się jednak w końcu, więc objąwszy się rę-

kami, a plecy oparłszy o ścianą pieczary pozasypiały, niewiedząc nawet same kiedy. Tak spały długo, bo dopiero światło dnia następnego przebudziło je.

Przebudziwszy się i pozdrowiwszy towarzyszkę swoją zagadnął Stefan:

“Marylko, uważaj tylko pilnie, a przekonasz się, że w niedługim czasie spełni się to, co nam wczoraj dobry Bóg przyrzekał. Pewny jestem, że rodzice nasi już są w lesie i że już szukają za nami, a niebawem usłyszymy ich wołanie.”

“I ja mam nadzieję, że tak się stanie — odpowiedziała Marylka. — Patrz jak niebo błękitnieje, ja to biorę za dobrą wróżbę. Uważajmy więc pilnie, ażeby daremnie nie wołali.”

“O, już ja dobrze ucha nadstawię, ażeby ani jedno wołanie daremnie nie przebrzmiało — odpowiedział Stefan. — Ale przedewszystkiem musimy zjeść śniadanie, bo ty pewnie tak samo głodna jak i ja.”

Marylka nie była wcale przedziwną temu. Oboje więc powyciągały skąpe swoje zapasy z kieszeni i podzieliły się resztkami chleba, sera i placka. Malu·hną bardzo cząstkę zostawiły jeszcze na wypadek, gdyby potrzebowały dłużej tutaj przesiedzieć i znowu usiadły spokojnie, ażeby jak najbaczniej podsłuchiwać. Zaledwie słów kilka zamieniały pomiędzy sobą od czasu do czasu i to nie głośno, lecz raczej szepcząc takowe, aby ciszy nie przerwać, aby im ani jedno wołanie nieuszło. Znaczny jednak już czas upłynął, a dzieci mimo to nieusłyszały niczego innego, jak tylko te głosy, któremi natura przemawia, a więc ów szum dający się zawsze słyszeć, ilekroć wiaterek poranny muska koronami drzew — i ochrypły głos dudka i krzyk dzięcioła i melodyjne tony jakie wywodziły kosy i drozdy — niczego jednak więcej. To wszystko słyszały przez ten znaczny przeciąg czasu — tylko nie usłyszały wołania ludzkiego, nie usłyszały głosu przyjaznego.

Niezawodnie było już około południa, bo słońce stało tak wysoko, że promienie jego dostać się mogły przez mały otwór do wnętrza pieczary, a jeszcze nie przerwał ciszy leśnej żaden głos pociechy. Mała Marylka poczęła się znowu lękać, lecz i Stefan nie zdołał w sobie stłumić wzrastającego z każdą chwilą coraz bardziej niepokoju. Gdyby bowiem ich dzisiaj, a może i jutro nieodszukano, trza było zawczasu przygotować się na ciężkie cierpienia. Już teraz czuły pragnienie, w zupełnie bowiem suchej pieczarze nie było ani kropli wody, a tych kilka maluchnych kawałeczków chleba, które pozostawiły, te niemogły również długo zaspokajać owego strasznego nieprzyjaciela, który się głodem nazywa. Więc z większą jeszcze jak dotychczas uwagą począł nadsłuchiwać Stefan szepcąc od czasu do czasu do ucha swej małej towarzyszki słowa pociechy.

“Pamiętaj na gwiazdkę Marylko,” mówił do niej, kiedy obaczył łzy w jej oczcch. “Bóg przecież jest z nami! Nie obawiaj się niczego, chwilkę tylko jeszcze cierpliwości!”

Marylka kiwnęła główką na poły mile na poły żałośnie i starała się być spokojniejszą.

I znowu siedziały oboje jakiś czas cicho — gdy w tem promień radości zabłysnął oku Stefana, a oblicze jego ożywiła nadzieja.

“Słuchaj Marylko!” zawołał zrywając się z miejsca, na którem siedział — “czy niczego nie słyszysz?”

“Nie, niczego — odpowiedziało dziewczę po chwili, pilnie podsłuchując. — Nie, ty jesteś w błędzie Stefanku!”

“A teraz! teraz! — wołał chłopiec radośnie. — Bliżej, coraz to bliżej! Jak to, czy jeszcze nie słyszysz? Wszak że to Karo szczeka! Karo, ten dobry Karo, nas pies łańcuchowy! Wierne zwierze zwąchało nasz ślad i szczeka z radości! Nie, ja się nie mylę, bo znam jego głos aż nadto dobrze! Słuchaj tylko — wołanie — znowu drugie — to twego ojca Marylko, a tam gdzie twój jest, tam i mój musi być niedaleko. Uratowaniśmy! Kochana gwiazda nieoszukała nas!”

Uszczęśliwione dzieci wyciągnęły ręce i uściskały się wzajemnie, z każdą bowiem chwilą głosy z lasu dochodziły ich wyraźniej, a psa szczekanie stawało się głośniejszem. Marylka płakała z radości, a Stefan wołał, o ile tylko mógł głośno:

Tu ojcze! tu w tej pieczarze za skałą,

siedzimy"'

I znowu dało się słyszeć wołanie z zewnątrz i szczekanie psa, dzieci odpowiedziały swcimi młodymi głosami tak silnie, że odpowiedź ich przez szukających usłyszaną została. Poczem pierwszy przyleciał Karo i okropnie szczekając rzucił się na odłam skały, jak gdyby go chciał słabemi swojemi siłami na bok usunąć. Nieudało mu się to wprawdzie, ale ojcowie już wiedzieli, gdzie swoich dzieci szukać należy, więc też chwilę zaraz później ukazała się w otworze głowa mężczyzny, który w ciemnościach pieczary chciał obaczyć dziatwę.

Ojcze! — zawołał Stefan. — Dzięki Bogu, że jesteś tutaj, bo niebawem zostaniemy wydobyte!"

"I ja tak sądzę — odpowiedział ojciec — jesteścież zdrowe i nie pokaleczone?"

"Ojczulku! nam niczego nie brakuje tylko wolności. Burza napadła nas niespodzianie w lesie, schroniłyśmy się więc do tej pieczary, gdy w tem raptem stoczył się ten odłam skały i zamknął nam wychód "

"A toście rzeczywiście w dziwny sposób złapane zostały. Ale miejcie tylko trochę cierpliwości — bo jakkolwiek kamień ten jest bardzo ciężki, damy sobie jednak z nim radę. Na szczęście pozabieraliśmy ze sobą nasze narzędzia, a także i siekiery. Zetniemy więc drzewo, zrobimy drąg dopodważania i podnoszenia i za pomocą tego postaramy się kamień ten usunąć. A czy niepotrzebujecie też czego? Nie jesteście może głodne?"

"Nie, głodne nie jesteśmy, ale okropnie spragnione odpowiedział Stefan. — Lecz to nic nieszkodzi, my i to przecierpimy, byle się tylko stąd wydostać."

"Nie, nie, tak być nie może, musiałybyście za długo czekać — odpowiedział ojciec — i dla tego też wodę dostaniecie zaraz."

W tejże samej chwili znikła głowa w otworze, lecz za kilka minut ukazała się powtórnie. "Uważajcie, — wołał ojciec Stefana. — Spuszczam na sznurku flaszkę wody. Chwyćcie ją więc i napijcie się."

Stefan obaczył flaszkę, a radosne wołanie jego przekonało ojca, że szczęśliwie dostała się do nich.

Kiedy dzieci na przemiany piły z flaszki, świeżą wodą źródlaną gasząc pragnienie, zewnątrz pieczary czyniono przygotowania w celu usunięcia odłamu skały. Przyrządzono wnet silny drąg i po chwili usłyszały dzieci jak zaczęto skałę podważać. Po kilku jednak daremnych próbach zaniechano dalszych usiłowań, kamień bowiem był tak ciężki, że czterech silnych mężczyzn niemogło go ruszyć. Marylka poczęła się znowu obawiać.

"A jeżeli oni niepotrafią go usunąć?" mówiła pełna trwogi.

"Nieobawiajcie się," wołał głos z zewnątrz. "Samym drągiem niedamy mu rady, będziemy go musieli trochę podkopać. Bądźcie cierpliwemi jeszcze z półgodziny!"

Po chwili usłyszały dzieci, jak zewnątrz poczęto łopatami pracować. I znowu po chwili ustała wszelka wrzawa i podniesiono ów drąg i zaczęto podważać, lecz tym razem szczęśliwie, kamień bowiem począł się powolutku chylić cokolwiek, następnie coraz więcej, aż w końcu stoczył do dołu, który obok niego i pod nim wykopano. Jasne światło dzienne oświetliło ciemną pieczarę i z radosnem okrzykiem rzuciły się dzieci w objęcia rodziców.

"Cóż biedne dzieci moje, wieleście musiały przecierpieć," zagadnął po chwili nauczyciel Ewald, który się również przyłączył do tych którzy że wsi przyszli do lasu w celu odszukania Stefana i Marylki. "Najprzód ta okropna burza, a potem noc — a nadto przez całą ciemną noc siedziałyście zamknięte w tej pieczarze — tego zdaje mnie się do przyjemności zaliczyć niemożna. Powiedzcie, czyście się bardzo bały?"

"Tak, z początku w rzeczy samej, panie nauczycielu—odpowiedział Stefan—osobliwie, kiedy ten odłam skały z hukiem spadł na dół i wyjście nam zamknął. Później jednak, kiedy noc swą osłonę na ziemię spuściła już nie, bo znalazłyśmy pociechę."

"Jakto, w jaki sposób moje dzieci?"

"Oto dobry Bóg kazał swoim gwiazdom przyświecać i mówił do nas przez ich jaśniejące światło."—odpowiedział Stefan. "Uspokójcie się — mówiły one — bo ja Pan nad Pany jestem przy was i ja was wyratuję."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SPOTKANIE.

KROTOCHWILA W JEDNYM AKCIE ZE ŚPIEWAMI Z FRANCUZKIEGO. PP. CABOT FALLAIS I LETARGĘ.

(Ciąg dalszy.)

Julia *(na stronie:)*

Ech! dosyć tej gadaniny, mówmy szczerze (gł.)! Dla czego Pan szedłeś ciągle za nami?... Jeżeli chcesz mię okraść, toś się sam okradł, bo mam tylko dziesięć sous.

Herkules.

Właśnie na dwa razy zapłacenia omnibusu.

Julia.

A jeżeli dla tego żem zostawiwszy ciotkę sama śpieszyła do domu, i Pan sądziłeś, że goniąc za mną.....

Herkules *(stanowczo.)*

Ja gonię za panią?.. na honor to byćby mogło... ale nie jest!..

Julia.

Od teatru przy bramie świętego Marcina, nieodstępowałeś mnie prawie.

Herkules.

Gdybym był wiedział, że moja obecność nie przyjemną Pannie... Proszę racz mi wskazać miejsce twojego zamieszkania, i plan któremi ulicami zwykle Pani chodzisz?

Julia.

Aby?..

Herkules.

Aby strzedz się tych ulic, i nie spotkać Panny — przysięgam!...

Julia.

Oh nie przysięgaj Pan! Nikt tu niewierzy... ta moneta wyszła już z mody.

Herkules.

Przysięgam nato, żem jej nie ścigał... i ścigać nie będę!...

Julia.

A więc Panie, jestem u siebie, tu moje mieszkanie.

Herkules.

Tu na bruku?... Aah! gdybyś Pani była babką swoją, uwierzyłbym... bo babką w mniej grzecznym wyrażeniu, ubijają... *(pokazuje, jak ubijają bruk.)*

Julia *(z powagą.)*

Panie! oto moje drzwi! *(wskazuje drzwi z lewej.)*.

Herkules.

Ba! *(naśladując ją.)* Pani! oto moje drzwi! — tu są moje zimowe i letnie apartamenta *(wskazuje drzwi z prawej.)*

Julia *(wskazuje na dół).*

Tu?...

Herkules.

Nie tu, ale tam wyżej, nie najwyżej, ale wysoko.... na piątem piętrze... autresola się nie liczy.

Julia.

Pan mieszkasz pod numerem 32 — a ja pod 33.

Herkules.

Możemy śmiało powiedzieć mieszkamy pod garbatemi... Teraz dowód wyjaśniający, dla czego nie odstępowaliśmy się na krok jeden.

Julia.

Więc Pan na prawdę jesteś moim sąsiadem?.—

Herkules.

Panna wątpisz o tem? o mojem słowie honoru?... Ah, to nie pięknie... powiem nawet więcej!... to nie pięknię! i zaraz ją przekonam! (*idzie do drzwi.*) Uważaj Pani zaraz mi otworzą (*dzwoni.*) Mój odźwierny będąc Sabaudczykiem, nigdy nic dwa razy powiedzieć sobie nie da! (*puka.*) Utrzymuje że im prędzej otworzy, gdy kto zadzwoni, tem prędzej pozbędzie się nieprzyjemnego hałasu... (*dzwoni.*) Cóż u licha? czy go zęby bolą? czy funtem waty uszy sobie wypchał? (*puka.*) Eh, ojcze Cornilflet, nie możesz się wydobyć z objęć Morfensza? (*puka.*) Nie, — jak widzę ten stary puhacz nie chce otworzyć. (*do Julii.*) Zostaw mnie Panna mojemu losowi i idź do swojego gniazdeczka, które pewnie także wysoko ulepione... a mówią że my biedacy się nie wznosimy?..

Julia.

Niestety! jabym bardzo rada dostać się do niego, ale Papa Grevouillard ma także słuch trochę przystępy i. —

Herkules (*śmiejąc się.*)

I oboje mieszkamy, teraz w jednem mieszkaniu, pod gwiazdzistym sufitem, na świeżem powietrzu: ochłodzani czterema wiatrami!... wybornie, doskonale!... (*śmieje się.*) Lokal tani, ale nie zawsze wygodny.

Julia (*niecierpliwiąc się.*)

Pan się śmiejesz? — Ah, to okropnie!...

Herkules.

Co okropnie!... Jestem więc brzydki, kiedy się śmieję? — Spróbujmy jeszcze raz, czy nie roztkliwiemy naszych szanownych odźwiernych?.. Pukajmy razem a może trafiemy do ich słuchu. —

Julia.

Dobrze pukajmy!

ŚPIEW NUMER I.

Julia (*pukając.*) Otwórz, otwórz, śliczny Panie!
Herkules (*pukając.*) Otwórz, otwórz, śliczny Panie!
Julia (*na stronie.*) Głuchy jak mur stary dziad!
Herkules (*n. str.*) Głuchy jak mur stary dziad!
Julia (*pukając.*) Dam ci trzy sous na śniadanie.
Herkules (*pokazując pięść.*) Coś dostaniesz na śniadanie!
Julia. Niegodziwy; stary grat!
Herkules. Niegodziwy stary grat!
Julia. Otwórz proszę, błagam, klnę! —
Herkules. Otwórz proszę, błagam, klnę! —
Julia (*zapukawszy raz jeszcze odchodzi do środka.*) Niechże szatan porwie cię
Herkules (*również jak Julia.*) Niechże szatan porwie cię!

Herkules (*mówi.*)

Pukaliśmy tak że cały cyrkus obudzićby można... myślę że możemy teraz już zaprzestać.

Julia.

Rzecz szczególna, żeby tak spać mocno! —

Herkules.

Przepraszam za pytanie. — Czy panna czasem nie zapomniałaś, że są pewne termina, w których niegodziwi gospodarze upominają się o kwartalne, byłby to grzeczny sposób zobowiązania panny.

Julia.

Co znowu?.—

Herkules.

Zawsze nie przez woźnego.

Julia.

Ja jestem uczciwą dziewczyną!—

Herkules.

Ja także jestem uczciwym.... kawalerem... najlepszy dowód, że jeszcze nigdy nikt nie znalazł mnie przeciwnie, — ale dla tego winienem za trzy kwartaly; gospodarz przychodził do mnie upominać się o należytość przynajmniej za ostatni kwartał, a ja zwróciłem jego uwagę, że byłoby niesłusznością z mojej strony, płacić za ostatni kiedy pierwszy czeka cierpliwie od tak dawna!

Julia.

Ale to szkaradnie panie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)